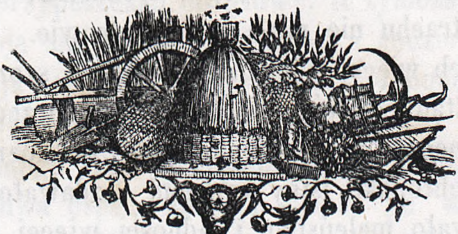
Tom I. Nr. 18.

21. Grudnia 1859.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

# DZWONEK

## PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

## Nie trzeba się woli Boga przeciwić.

W jednej wiosce tuż przy wielkiej drodze stała porządna, murowana gospoda. Siedzieli na niej od dawien dawna karczmarze Wojciechowie, katolicy jużcić, bo dziedzic tej wsi przeciwny był żydom, to choć oni mu tam i naddawali na katolika, wolał on się mniejszem kontentować, byle nie z żydami mieć do czynienia. — Oboje Wojciechowie, tak on jak i ona, uczciwe dusze i bardzo było przykładne małżeństwo; wiodło im się też i niezgorzej, wszystkiego mieli podostatkiem, a przecie nie ze wszystkiem byli szczęśliwi. Jużci dziesiąty roczek mija, kiedy się pobrali ze sobą, a jeszcze dotąd nie obdarzył ich Pan Bóg żadnem potomstwem. Trapili się tem nieboracy, i dzień w dzień wzdychali oboje do pana Boga, aby ich jakiem dzieciąteczkiem pocieszyć raczył. Nadto sama karczmarka miała w alkierzu powieszony obraz pana Jezusa ukrzyżowanego, przed którym bywało nieraz po całych nocach klęczała a zalewała się łzami, niby jaka najnieszczęśliwsza kobieta, a wszystko o to, aby mieli potomstwo.

Aż też wysłuchał ich pan Bóg — jednego dnia porodzili się Wojciechom bliźniaki, oba chłopcy, a ładne jakby dwa aniołki, a krzepkie to i żwawe od samego urodzenia, że już rodzice najmniejszego strachu nie mieli o ich zdrowie. Od tego czasu oboje, ani byś ich więcej odpoznał, tacy byli szczęśliwi, a Wojciechowa już odtąd co dnia paliła świeczkę przed obrazem Jezusa ukrzyżowanego, na podziękowanie za doznaną łaskę. — Ależ bo to i nie chłopaki! istny wam cud — zdawało się, że z każdą godziną przybywało maleństwu i ładności więcej i przedziwnego rozumu. — Często gęsto goście, co to na gospodę zajeżdżali, nie mogli się temu nadziwować, i każdy jeno rodzicom zawidził takich pięknych i rozumnych dzieci. A toć kiedy obcym Wojciechów bliźniaki tak bardzo do serca przypadły, cóż dopiero mówić o rodzicach!... im się wydało, że gładszych, rozumniejszych i lepszych dzieci nie masz już na świecie — i z każdym dniem coraz to więcej przywiązywali się do nich. A wciąż jeno układali sobie w głowie: co to z tego będzie!.. — Ojciec powiada: „Dam jednego uczyć na księdzia; zostanie proboszczem, potem kanonikiem a w dobrym razie może i biskupem. A drugiego pokieruję na urzędnika, to z czasem wyjdzie na pana starostę, a może i wyżej... kto to wie!“ Tak sobie roił ojciec. — Matka znowu inaczej — powiada: „Niech-no mi jeno, da Bóg, podrosną moje chłopaczki, moje cudopiękności, to zobaczysz ojcze, że ich i bez nauki wystrychnę na panów. Nakupię ja sukna cieńkiego, ugodzę majsterka szykownego do krawieckiej roboty, coby im pańskie porobił stroje, a żeć im Bóg nie poskąpił urody — no, to i kto tam wie, co się potem stać może?... Nasza gospoda tuż przy wielkiej drodze, różne państwa przejeżdżają tędy, to uważasz, tatuleńko: z rodzicami jadą i panienki, jedna, druga — dajmy na to panny hrabianki — przypadkiem rzucą okiem na naszych gładkich chłopaczków, i od jednego razu okrutnie ich sobie upodobają... i no, jużcić mię zrozumiałeś, stary!...“

— At kobieto, wielka z ciebie bajbuga! — rzeknie natenczas Wojciech, ale taki i jemu do onych hrabianek uśmiechają się oczy, i w głębi ojcowskiego serca rad jest tej myśli, co sobie ją w głowie żona uroiła.

Słowem, moi kochani, Wojciechowie już prawie powarjowali z wielkiego przywiązania do dzieci, że sobie takie niepodobne rzeczy przypuszczali do głowy. A tymczasem mijają latka, chłopcy chowają się czysto i zdrowo, a rodzice pieszczą, chuchają, dogadzają temu we wszystkiem, że bodaj szybki z okna któremu się zachciało, to wyjmą a dadzą.

Aż tu ósmego roku przypada na tę okolicę okropnie zjadliwa a zaraźliwa ospa; chorują dzieci po wsi, chorują we dworze, nareszcie i Wojciechom oba chłopaki położyli się jednego dnia. I patrzcież! co tam było ratunku, co przeróżnego lekarstwa, Bóg wie nie zkąd doktorzy się zjechali, bo Wojciech nie żałował niczego', a miał dziękować Bogu i grosza uzbieranego dobrą miarkę — ale to wszystko na nic się nie przydało: jak jednego dnia oba przyszli na świat, takci jednego dnia i prawie tej samej godziny oba wraz poszli do grobu. Dopieroż to był płacz i lament niesłychany na gospodzie! zdało się że oboje Wojciechowie w głowę zajdą od wielkiego żalu, aże ludziom obcym straszno było patrzeć na tę rodzicielską żałość i rozpacz. Osobliwie też sama Wojciechowa, ta już oczywiście od rozumu odeszła: ani pożywienia brać nie chciała, ani ludzi widzieć na oczy — ona właśnie na cały świat się zagniewała, ba nawet i na samego Boga. Bo i cóż ona nieszczęsna nie robi w tym swoim żalu!... biegnie do alkierza, kędy powieszony był obraz pana Jezusa na ścianie, i rzecze: „Panie Jezusie, ja się tak zawsze pięknie do Ciebie modliła i takem Cię kochała, a Tyś mi, panie Jezu, taką krzywdę wyrządził?... to już ja i na ten Twój obraz, co mi tak był miły, teraz patrzeć nie mogę i nie chcę!“ — To wypowiedziawszy, w tej swojej szalonej rozpaczy bierze i odwraca do ściany święty obraz.

I znowu minęło lat może kilkanaście. Wojciechowie tymczasem uspokoili się co nieco, i powoli po onem strasznem zmartwieniu zaczęli przychodzić do siebie. Bo widzicie, na świecie tak jest i tak być musi, że człek choćby ta nie wiedzieć jaką szkodę poniósł, z czasem przeboleje, i choć nie ze wszystkiem zabaczy, to taki mu się żałości umniejszy i to jego zranione serce ile tyle podgoi.

Owóż mówię, że już kawał czasu przeszło, i Wojciechowie już tak niby po trochu uspokoili się w swojej żałości, ale obraz pana Jezusa w alkierzu, jak go raz sama Wojciechowa odwróciła była do ściany, taki odwrócony był ciągle aż do tej pory. I nie wiedzieć dla czego?... może po prostu stało się to z zapomnienia, a może też i śmiałości nie miała karczmarka zbliżyć się do obrazu, przeciwko któremu w onym niepomiarkowanym żalu tak bardzo była zawiniła. Dość na tem, że obraz jak wisiał, tak wisiał obrócony do ściany.

Było to jakoś z początkiem lata. Dzień był niesłychanie parny; toż pod wieczór niebo zasuło się czarnemi chmurami, i zakazało się na straszną burzę. Wkrótce ruszył się wiatr mocny i deszcz lunął jak z cebra, a po czarnem niebie od chwili do chwili przemykały się błyskawice, niby węże czerwone i grzmiało aże ziemia dudniła. Dobry to był dzień dla naszych Wojciechów! burza nagnała im gości co nie miara, cała sień natłoczona była furami, a w gospodnej izbie taki ścisk, taka wrzawa od rozmaitego ludu, prawdziwie jak na targowicy w czasie dobrego jarmarku. Na sam ostatek przybył jeszcze jeden pan podróżny. Ten że się już nie miał gdzie przytulić w gospodnej izbie, musiał rad nie rad mieścić się pospołu z gospodarstwem w alkierzu. Przed spaniem wdał się on z nimi w pogadankę o tem i owem; Wojciechowie przypadli mu jakoś do serca, toż samo i on wydał się Wojciechom rzetelnym i rozumnym człekiem — i byli z wielką ku niemu ufnością. W tem kiedy się tak ze sobą rozmawiają, podróżny pan przypadkowo spojrzał na ścianę, obwieszoną świętemi obrazami. A to mu zaraz wpadł w oko jeden obraz odwrócony do ściany. Z ciekawości zapytał, coby to miało znaczyć?... Wojciechowa zapłoniła się z razu cała ze wstydności, ale prawdy nie zataiła, jeno po szczerości opowiedziała mu wszystko jak było, i przy jakiej to ona okazyi uczyniła. Podróżny pan wysłuchał ją spokojnie do końca, a potem łagodnie jej zganił takowy grzeszny uczynek, mówiąc: „Kobieto! prawda że cię pan Bóg ciężko nawidził, ale przeto nie godziło się Jego przenajświętszej woli przeciwić. Któż to wie, matko, ażali ta przedwczesna śmierć twoich dzieci karą była dla ciebie? a może właśnie pan Bóg wyświadczył ci tem wielką łaskę i

swoje miłosierdzie?... Toć uderz się w piersi, słaba niewiasto, żałując za ciężki grzech twój i zaraz przeproś pana Jezusa!...“

Tak mówił podróżny pan. Wojciechowa uznała swoje zaślepienie; z pokorą przystąpiła do świętego obrazu i zwolna odwraca go... Ależ dla Boga! co się stało!?... Kobieta wrzasła na cały głos i prawie nieżywa upada na ziemię. Rychło na ratunek poskoczyli wraz mąż i podróżny, podźwignęli nieszczęsną ze ziemi, i dopytują skwapliwie, co jej takiego? — Wojciechowa cała w dreszczu, słowa wypowiedzieć nie mogła, jeno ręką ukazała na obraz, co go była właśnie przed chwilą odwróciła. O moi ludzie! a toć strach wypowiedzieć co tam stało na tym obrazie: z wizerunku pana Jezusa już i śladu nie było, zniknął ze wszystkiem, a natomiast widno tam dwie szubienice, a na każdej wisi brzydki trup wisielca, a twarze onych wisielców kropla w kroplę takie podobne... zgadnijcie do kogo?... do onych bliźniaczków, cudopiękności Wojciechów, co ich była zjadliwa ospa zabrała z tego świata przed laty kilkunastu. — Oczywiście był to cud Boski, objawiony rodzicom na przekonanie, jako się im wielkie przez to stało miłosierdzie, iże dzieci potracili przed czasem, coby ich byli kiedyś powiesili.

I dopiero wtedy Wojciechowa uznała łaskę i dobroć Boga nad sobą, i już więcej za synaczkami nie rozpaczała, a podróżnemu panu, co jej pierwszy kazał odkryć obraz, szczerze podziękowała. I odtąd co dnia aż do samej śmierci paliła już świeczkę przed panem Jezusem, który się znowu pokazał na obrazie, a wszystkim to rozpowiadała, szczególniej zaś rodzicom: aby się nigdy woli Boga nie przeciwili, bo On jako dobry nasz ojciec wie najlepiej, co ku naszemu pożytkowi, a co ku naszej szkodzie być może. —

***Ludka z Myślenic.***

# KOLĘDA.

Śliczna Panienka Jezusa zrodziła,
W stajni powiwszy, siankiem go okryła
O siano, siano, siano jak lilija,
Na którem kładzie Jezusa Maryja.

Czyś taka biedna, o Panienko droga!
Żeś w liche siano uwinęła Boga?
O siano, siano, siano kwiecie drogi,
Że się na tobie kładzie Pan ubogi.

A Józef mąż zacny,
Na dzieciątko baczny,
Świętą Pannę cieszył
I z usługą spieszył.

— Mój Józefie drogi,
Toć to mróz tu srogi.
Ziębnie nam dzieciątko,
Boskie pacholątko!...

— Temu pacholątku,
Boskiemu dzieciątku
Przynieś, proszę, siana
W główkę, pod kolana.

I Józef mąż zacny,
Na dzieciątko baczny,
Wziął sianka nie wiele
I w żłobie mu ściele.

A zaś bydlęteczko,
Wół i oślęteczko,
Parą nań chuchali
Dziecię ogrzewali.

# Pan Nieponimaj.

*Opowiedział Walenty ze Smolnicy.*

---

Wojciech Brzech, wójt w Mrzygłodzie to człek nielada! Nietylko że dobytkiem najbogatszy w gromadzie, ale spytaj bądź kogo a powie ci, że i rozum u niego jak u żadnego z mrzygłodzkich gospodarzy. — I nie dziw! Wojciech Brzech od dzieciństwa ocierał się przy dworze, ba nawet kilka lat służył za fornala u nieboszczyka pana, i z nim razem często dalekie odbywał podróże. A rzecz doświadczona, że człekowi tem rozumniej w głowie, im więcej widział świata i ludzi. Do tego nasz Wojciech był setnie ciekawy a sprytny jak mało. Wszystko co ujrzał i zasłyszał, brał na rozwagę, i umiał ztąd zawsze wyciągnąć jakąś mądrą naukę. Bo to człek żeby się tylko nad wszystkiem, co się dzieje na świecie, chciał dobrze rozumem zastanowić, a pozna łacno, że taki to tym światem rządzi z nieba i mądrość najwyższa i łaska najwspanialsza.

Trzeba wiedzieć, że Wojciech dopiero przystawszy do Kozaczychy wdowy, stał się takim bogaczem jak dzisiaj. Za młodu nie miał kąta własnego i musiał ciężko pracować na kawałek chleba. A że widział innych parobczaków, co ani tak dorodni ani tak ciekawi jak on, a przecież nie potrzebowali służyć i odrobiwszy lada dzień lub dwa pańszczyzny, byli sobie panami własnej woli i własnego domu, toć nieraz się pasował i narzekał, że Pan Bóg tylko jemu a nikomu innemu nie pozwolił pracować samemu na siebie, ale od dzieciństwa kazał się wysługiwać obcym ludziom.

— Ej, co tam po takiem życiu! — mawiał nieraz — człek pracuje i pracuje, że rąk nie czuje, a zawsze biedny. Inny cały dzień do góry brzuchem się wylęga, a ma wszystkiego po uszy. Niech tam sobie będzie co chce, ale ja już nie pojmę nigdy, dla czego pan Bóg tak źle rozdzielił swoje dary i jednemu dał za wiele, drugiemu za mało!

Szczęście że z takiem gadaniem nie wyrywał się głośno, boby się musiał okrutnie wstydzić przed ludźmi, kiedy niebawem przyszedł do rozumu i sam poznał dowodnie, że byle się człek

umiał tylko pogodzić z dolą, jaką mu niebo przeznaczy na ziemi, a uczuje się nieraz stokroć szczęśliwszym niż ten, któremu zazdrości. — A wielce ciekawa to rzecz, jakim sposobem nasz Wojciech Brzech przyszedł do takiego poznania. Jak sam powiadał, zawdzięczał to wszystko jakiemuś panu Nieponimajowi.

A kto to był ten pan Nieponimaj, dowiemy się zaraz.

Kiedy Wojciech służył za fornala we dworze, to nieboszczykowi panu wypadło jechać jakoś do swoich włości za kordon, a z tamtąd aż w głąb Rosyi. Wojciech miał wielką łaskę u pana, i musiał towarzyszyć mu w podróży.

Szeroki tedy przejechał kawał kraju i różnych ci się napatrzył ludzi, aż nareszcie interesa pana zagnały aż do Moskwy, co to jest takiem miastem dla Moskali, jakiem dla nas nasz święty i stary Kraków. Wojciech jak żył nie widział takiego wielkiego miasta, toż mało oczy nie zgubił, tak ciekawie rozpatrywał się na wszystkie strony, i tak okrutnie dziwował się wszystkiemu. Markotno mu tylko było, że jak w rogu nie rozumiał nic, jak tam ludzie mówili, boć Mazurowi trudno zrozumieć Rusina, a temcibardziej Moskala.

Nieboszczyk pan pozwolił mu przejść się po mieście, a ciekawy Wojciech kręcił się z ulicy na ulicę i nie mógł się dosyć napatrzyć na wszystkie cuda niewidziane. Stanął wreszcie w rynku przed jakimś wielkim sklepem aż oniemiał z zadziwienia. Mocny Boże! co tu skarbów nagromadzonych leżało przed jego oczyma. A nie dość tych rozmaitych kosztowności, złota, srebra, drogich materyi, co widać było za szkłem, alić przed sklepem stało jeszcze kilka ogromnych bryk, że w kąt drabiniaste wozy ze zbożem, a z każdej bryki mnóstwo ciężkich skrzyń wyładowano i znoszono do sklepu. A musiały tam być setnie drogie rzeczy, bo nie w jednej skrzyni brzęczało coś jak szczere złoto i śrebro, a niejedną pakę to i dziesięciu ludzi nie mogło podźwignąć.

Myśli sobie Wojciech:

— Hej, hej, mocny Boże, oto mi bogacz! temu nie żal żyć na świecie!

I aż ręce załamał i gębę rozdziawił z podziwu.

— Żebym też wiedział jak się nazywa ten bogacz siarczysty, tobym miał co opowiadać, jak wrócę do dom — rzekł do siebie.

I po chwili zdjął magierkę z głowy, i zbliżając się do jakiegoś brodatego kacapa, co w pobliżu rozwiązywał postronki od bryki, zapytał go pokornie:

— Dobry człeku! a wy nie rzeklibyście mnie, jak się nazywa ten wasz bogacz ognisty, co to jego i sklep i te bryki okrutne?

Brodaty kacap wytrzeszczył oczy na to zapytanie, a widząc że to jakiś cudzy, co nie rozumie mowy, wzruszył ramionami, i nie odrywając się cale od roboty rzekł w pospiechu: — Nieponimaju! — co znaczyło po naszemu: Nie rozumiem.

Ale poczciwemu Wojciechowi inaczej się to wydało. Nie zrozumiał brodatego moskala, i myślał że to sam ten bogacz nazywał się: Nieponimaj! to też pokiwał głową i rzekł sam do siebie:

— Nieponimaj! pan Nieponimaj! proszę, taki setny bogacz, a nazywa się tak coś, jak nasz stary przysiężny Niepowidaj! A puszczając się dalej w drogę, poskrobał się za uchem i poszepnął z cicha:

— Mocny Boże! żebym choć setną odrobinę miał z tego, co ten bogacz, toż to miałbym życie. Ale cóż tu gadać! Taka to niesprawiedliwość na świecie! Jeden ma po uszy, a drugi i włoska nie ma w czem umaczać.

Idzie dalej, a patrzy, aż tu kilkaset mularzy i robotników muruje nad jakąś strasznie wielką kamienicą; jak dobry zagon ciągnie się jedna już wzniesiona ściana.

Wojciech przystanął na miejscu, i wypatrzył się ciekawie na ogromny budynek.

— No, ten sobie stawia chałupę — rzekł sam do siebie — że i dziesięć gromad, większych niż nasza, miałyby gdzie mieszkać! Ciekawym przecie jak się też nazywa ten drugi bogacz.

I przystępując do najbliższego robotnika, który na drabinę podawał cegły, zagadnął z uprzejmym uśmiechem:

— Ej, panie majstrze! nie powiedzielibyście mi też z łaski swojej, kto to sobie muruje taki dwór przepyszny?

Moskal rozdziawił gębę i wybałuszył oczy, bo jak żył nie słyszał polskiego chłopa.

— He? kakoj? — zapytał po swojemu.

— Pytałem was, majsterku, kto sobie buduje taki dwór wielki? — ozwał się na nowo Brzech.

Moskal wstrząsł głową: — Nieponimaju! — rzekł prędko i jął dalej podawać cegły.

A nasz Wojciech aż w górę poskoczył w pierwszej chwili. — Pan Nieponimaj! — wrzasnął z całego gardła. — Otóż macie! A niechże cię siarczyste pioruny biją, to mi bogacz! Ależ się obuchał dostatków, bestya! A ja mój Boże! — szepnął naraz żałośnie — ja muszę jak pies wysługiwać się u cudzych ludzi! Taka mi sprawiedliwość na świecie!

I niezadowolony i markotny szedł dalej, dumając w duchu nad swojem ubóstwem a cudzemi zbytkami. — Aż też nagle znowu przystanął. Ujrzał przed sobą wspaniały pałac na trzy piętra, ze szklannym gankiem, z kręconemi słupami, a tak jakoś cały cudny i pyszny, iż na razie myślał Wojciech że to kościół, i co tchu zdjął czapkę z głowy. Ale patrzy dłużej, toć nie kościół, tylko pałac taki bogaty. Dach się na nim świecił jakby ze srebra i złota, a brama wyglądała prawie jak ołtarz w kościele. W progu u bramy stał setny chłop w kapocie złotem wyszywanej i z ogromną złocistą lagą w ręku, a choć widać było, że to niby stróż, to wyglądał jak jaki starosta albo jenerał.

— Matko Boska! — krzyknął Wojciech — toć to cudo sprawiedliwe, taki dwór niby kościół Boży! Ej — szepnął sobie po chwili — tu pewnie mieszka sam cesarz albo jaki minister, albo może komisarz cesarza.

I nie mógł już przytłumić swojej ciekawości, skłonił się do samych kolan brodatego wielko-luda ze złocistą lagą, i szepnął potulnie: — Jaśnie wielmożny panie stróżu! nie rzeklibyście mi łaskawie, czyj to pałac?

Ale mało nie skamieniał z przestrachu, kiedy drągal z złocistą lagą nabuńczuczył się jak jendor, i wyciągając rękę groźnie naprzód, huknął z całego gardła: — Nieponimaju! paszoł!

— Oj gwałtu! — zawołał nasz Wojciech Brzech — toć chyba już cały świat tego człeka, tego pana Nieponimaja. — Hej, hej, Matko Boża! — narzekał w duchu, puszczając się dalej w drogę. — Toć już życie niemiłe człekowi, kiedy widzi że jeden się po uszy kąpie w złocie, a drugi chyba w gorącem sadle, co mu bieda leje za skórę; hej, hej, nie ma już sprawiedliwości na świecie! Pracuj żeby ci ręce odpadły, ta ledwo zarobisz kawał chleba i jaki łach na grzbiet, a ot, taki pan Nieponimaj pewno w swojem życiu ani jednej kopy nie zmłócił, a aż mu się oczyma leje bogactwo! — I kiedy tak wyzywał i narzekał, słyszy w tem jakąś muzykę uroczystą. Przystanął i słuchał, aż tu zbliża się pogrzeb okazały. Kilkunastu księży szło przodem, sześć czarnem suknem okrytych koni ciągnęło trumnę, a w tyle jechało dużo tak bardzo dużo powozów, za trumną zaś nie widać było ani żywego stworzenia.

— Toć jakiś wielki pan musiał kłapnąć — mruknął Wojciech i przyczaił się pod mur kamienicy, a przeżegnawszy się nabożnie, jął przypatrywać się pogrzebowi. I jakoś mu się dziwnie żałośnie i ciężko zrobiło na sercu. Nikt nie szedł za trumną, nikt nie płakał i nie zawodził za umarłym. Ci co jechali w tyle powozów byli wystrojeni jak na wesele, a wszyscy wyglądali jakoś radośnie.

— A cóż to się znaczy — poszepnął Wojciech — umarły! pogrzeb! i nikt nie płacze, nikt ani jednej łzy nie uroni za trumną. — I nie mogąc wytrzymać, krzyknął na furmana jednego z jadących w tyle powozów:

— A czyj też to pogrzeb? nie powiedzielibyście mi z łaski swojej?

Ale furman wstrząsł głową, wzruszył ramionami, i mruknął prędko, machnąwszy ręką:

— Nie ponimaju!

— O Jezu milatyński! — krzyknął Wojciech — toć to ten bogacz okrutny! Umarł! Już mu teraz po jego bogactwach! I nikt nie płacze za nim, nikt nie zawodzi za trumną! otóż macie! ja mu zazdrościłem, a takić mi lepiej niż jemu, bom ja żyw i zdrów. O! a niedaj Boże, gdybym zeszedł ze świata, toć pewnieby mię nie tak brzydko chowali! Ho ho! coby to

było płaczu i termedyi! I gospodarze by się pofrasowali, i gospodynie posmuciły i dziewki poszlochały... a moja matka! taby pono umarła z żalu i płaczu! At kiedyć tak z twojem bogactwem panie Nieponimaju — zawołał po chwili i machnął ręką — to spocznij sobie w ziemi! Nie zamieniałbym się z tobą! wolę być chudym pachołkiem a miłowanym od ludzi, niż bogaczem za którym nikt ani jednej łzy nie uroni!

I od tego momentu nigdy więcej nie zazdrościł nikomu bogactwa, i nie narzekał na swoją dolę.

A kiedyć teraz został wam bogaczem i wójtem w gromadzie, toć i jemu nie zazdrości nikt szczęścia i znaczenia.

## Waszemu zdrowiu na pożytek.

*(Dokończenie.)*

Trzeci z kolei występuje przed wami, co się nazywa: *zawadijak*, *bitnik*, słowem człek zapalczywy. Wszystko to pochodzi od gniewu, któremu taki zawadijak łacno się poddaje.

„*Gniew* bardzo zdrowiu szkodzi i śmierć przybliża, bo całą duszą i ciałem tak trzęsie jak wiatr osiką, a krew tak w żyłach burzy, iż chciałaby nieraz aż oczami wykipieć! Oj gniew, moi ludzie, to jakby ogień we wnątrzu, co płuca pali. — O lada co bo o najmniejszą rzecz unosicie się gniewem; widzimy zaś że baby jeszcze są gniewliwsze od chłopów. Kura przez płot przeskoczy i na grządce ci grzebie, jużci unosisz się gniewem śmiertelnym na twoją sąsiadę. Zaraz z tego kłótnia, swar, przekleństwo i obraza Boga a razem i ujma na zdrowiu i życiu. Wróci nieraz baba do izby, nakłóciwszy się z sąsiadą, czerwona jak upior, wargi się jej trzęsą, z oczów ogień tryska, a czupryna na głowie omierzwiona, a czasem i gęba zdrapana świadczy, że się na słowach nie skończyło, ale że przyszło do bicia. Zaraz żółci przybywa, która się rozlewa po ciele, a z tego febry, żółtaczki, a czasem i paraliż. Braknie okazyi kłócić się z sąsiadą, to się baba kłóci z mężem albo z domownikami, a gada i

wydziwia i trajkocze dopóty, dopóki jej nie ustąpią. Jak nie ma się już z kim kłócić, to psa nogą kopnie, bydło bije i za własnemi gęsiami kołkiem albo kamieniem rzuca, a przeklina, aż wreszcie ze złości garnek pchnie do ogniska i warem się obleje, rękę oparzy i dopiero płacze ze złości i narzeka! Któż ci winien, moja kobieto, żeś się oparzyła?... Gniew to twój własny sprawił, a jeśli się tak często gniewać będziesz, to sobie nie tylko rękę warem, ale całe ciało ogniem w piekle oparzysz. Baby jak mówię częściej się gniewają, ale też i chłop jak gniewliwy, to wygląda jak ten wilk albo ów dziki zwierz, co niema rozumu tylko samą złość w sobie i żarłoctwo. Straszna to rzecz widzieć chłopa w karczmie, kiedy podpiwszy szuka z sąsiadem (jak to mówią) okazyi. Odgrzebie powód od lat dziesięciu albo dwudziestu, po pradziadku albo po babce, i dalejże na drugiego wywoływać! Sąsiad obrażony odpowie słowo, pijak i zawadijak odpowie mu dwa albo trzy i grozi biciem. Niedługo potem, chwytają się za gardło, lub za czupryny. Jużci bitka na śmierć! Drapią się paznokciami po gębie, krew płynie, aż w końcu chwytają się w pół i mocniejszy słabszego obala na ziemię. — Tu dopiero pięścią w piersi albo kolanem w brzuch morduje napastnik rozjuszony jak bydlę lub jak jaka dzika bestya. — Podobnym jest wtenczas do diabła, który męczy potępionego, a co najmniej do tego oprawcy, który psy obdziera. — Oj! moi ludzie! w takim złym człowieku i gniewliwym nie dopatrzy się już nikt podobieństwa do obrazu Bożego, na który jest każdy z nas stworzonym. Bóg nie poznaje swojego stworzenia, ludzie bliźniego, a nawet pies albo bydle, zwiesiwszy ogon, ucieka przed takim człowiekiem, bo widzi iż zły duch go opętał i że wszędzie w koło siebie gotów jest siać cierpienie, boleść, mękę i chorobę. — Jak zaś dopełni miary swej diabelskiej zemsty, to sam wygląda jak opętaniec. Ziaje szybko zmęczonemi płucami, ręce mu się i nogi trzęsą, krew zasinieje na policzkach, język ma od gorączki spalony, i gadać nie może, tylko się miota, aż go porwą sąsiedzi i do domu lub do aresztu zaprowadzą. Z tego później w powiecie ciągnie się prawo; zwodzą się zawadijaki do sądu, który i karę cielesną i areszt, a razem strof baserunkowy naznacza. Piękna mi rzecz stawać przed sądem w powiecie jak

jaki rozbójnik i odbierać z rąk klucznika karę zasłużoną! Człowiek już taki osądzony i osławiony nigdzie nie ma dobrego oka! Wszędzie o nim mówią jako o zawadijaku, zabijaku, napastniku! Na jarmarku jaki taki go omija, sąsiad się wysokim płotem od niego odgradza, we dworze nie przyjmą go na zarobek, powiat słowu jego i świadectwu nie dowierza, a kościół Boży czeka jego poprawy, ale często i przebaczenie na czas zatrzymuje. — Tak więc, zawadijak i bitnik nie ma ani u Boga ani u ludzi łaski, i często dostanie żółtaczki albo tyfusa, i jużci po nim."

Na sam koniec pokazuję wam: *próżniaka.*

„Widzicie jakto woda w rzece, która płynie, nigdy się nie zaśmierdzi, a w kałuży to się wkrótce zepsuje. — Otóż i człowiek kiedy pracuje, to jest jak ta rzeka co płynie, a gdy próżnuje, to jest jak to bagno co stoi. — A przecie dosyć przejechać jedną i drugą wieś w tym kraju naszym, aby się naocznie przekonać, ile to próżniaków znajduje się między wami. Zapewne że każdy z was musi zaorać, zasiać, zebrać z pola i wymłócić, bo cóżby jadł gdyby tego nie robił; lecz gdy robicie w polu, to jak zmusu, jak niewolnicy, i bez żadnej ochoty! Dlatego też pole u was (wyjąwszy nie wielu) nie jest starannie uprawione i tyle tylko, że to ziarno zagrzebiecie, ale upodobania w porządnej robocie mało który z was ma. Któryżto z was ochoczo idzie do pracy, śpiewając Bogu na chwałę i z nadzieją w sercu, że Bóg pracy pobłogosławi? Jeszcze kobiety prędzej można napotkać, co są pracowite i ochoczo w pole biegnące, ale chłopa to bardzo rzadko. Wstanie chłop rano i przeciąga się a ziewa i zaledwie Boga pochwali, jużci zagląda w garnek! Niechżeby tam w garnku nie było, dopieroby baba miała się z pyszna! Siądzie potem przy owym garnku i zajada pomału, układając w żołądku łyżkę po łyżce jakby snopki w stodole. — Potem wyjrzy na świat, przyglądając się słońcu—głową kiwnie, czapkę na głowę wsunie i do izby wraca, mówiąc: iżby trzeba iść kosić! Ale cóż kiedy kosa nie poklepana, więc by ją dopiero należało klepać, i pożyczać babki *) u sąsiada. „Ej, co tam!

*) Kowadełko do klepania kosy.

to się jutro posiecze, a na nią dość zajrzeć!" Idzie więc bez kosy zaglądać na łąkę, a idzie krok za krokiem, z głową zwieszoną jak desperat; dojdzie do łąki, spojrzy i wraca do domu, czekając południa, aby koniom zarzucić garść siana i samemu wypróżnić miskę jedną i drugą. — Po południu zdaje się chłopu, że zaczynać nie warto, bo się gdzieś i jakoś chmura, a więc przeszedł dzień na próżniactwie, a dni takich może połowa w roku.

Z próżniactwa krew gęstnieje, różne złogi robią się w żołądku i kiszkach, i stawy w kościach oraz ściągacze odwykają od ruchu, przeto każda praca jest dla nich później mozolniejszą. — Z próżniactwa wyradza się też ważna choroba, a tą jest: Głód na przednowku!... W tym głodzie zamiast chleba i ziemniaków, zmuszonym się jest zajadać *lebiodkę* i inne strawy zaledwie mąką obsypane, i żyje się gorzej od bydlęcia, a ztąd choroby i nawet w wielu razach puchlina przychodzi... i ot, gotowiusieńka śmierć, co ją samochcąc przywabił próżniak na siebie."

Owóż widzicie sami, moi kochani, jak to z grzechami waszemi chodzą też ręka w rękę rozmaite choroby! toć to ***pijaństwo, obżarstwo, gniew i próżniactwo*** — one was gubią po większej części, i już tu na ziemi czynią wam życie niemiłe, mizerując wasze ciało, a cóż dopiero mówić po śmierci! tam już czart czycha na duszę twoją i na wieczne potępienie ją wiedzie. Więc uchylajcie się od wszelkiej pokusy; w kościele a nie po karczmach szukajcie pociechy; w miarę pożywajcie chleb Boży; nie zapalajcie się gniewem lada czego i ochoczo w imię Boże bierzcie się zawsze do pracy — a wnet sami zobaczycie, jak się to przyda dla duszy i dla zdrowia waszego na pożytek.

## RÓŻNOŚCI.

*Wróbel jako poseł.* Pewna pani niezmiernie lubiła małe ptaszki. Skoro zima nastała — prawdziwy dla ptaszków przednowek — dobra pani co rana zmiatała śnieg z ganku i posypywała pszenicą, aby się to maleństwo skrzydlate miało czem pożywić. I każdą razą nazlatywało się tego biedactwa tyle, że aż czarno było na ganku. Pani stała między niemi jako ta gospoś, dosypując im ziarna, a one niby kurki domowe takie łaskawe, dziobały sobie spokojnie ziarnko po ziarnku, ćwierkocząc radośnie. Ale już najłaskawszy między niemi był jeden wróbel — ten skoro przyleciał, zaraz tej pani siadał na rękę, dał się pogłaskać,

ucałować, i z własnych jej rąk przyjmował swoje dzienne śniadanie. Raz też przyleciał i po zwyczaju wprost do swojej dobrodziejki, która zaraz spostrzegła, że ma cosik przywiązanego do szyi. Był to paluszek od starej rękawiczki, a w nim schowana była karteczka zapisana temi słowy: „Uczciwi ludzie, sąsiedzi pani są w wielkiej biedzie — może będzież tyle dla nich łaskawą, co dla tej skrzydlatej rodziny, którą wspomagasz co rano?" — Dobra pani idzie zaraz do izby, bierze papier co wartał 600 reńskich walutowych, kładzie w paluszek od rękawiczki, i podwiązawszy go pod szyję wróblowi, puszcza onego dziwnego posła w świat. W kilka dni potem wraca drobny posłaniec, przynosząc drugi taki liścik: „Ocaliłaś pani biednego ojca z liczną rodziną — na wiosnę oddamy ci te 600 reńskich." — Minęła zima — z początkiem wiosny wróbel znów się ukazuje z małym woreczkiem pod szyją, a gdy go rozwiązała nasza pani, znalazła tam swoje pieniądze i takie podziękowanie: „Oddajemy wielmożnej pani, cośmy jej byli dłużni i dziękujemy bardzo pięknie za wypożyczenie." — Napróżno pani łamała sobie głowę, ktoby zaś był ten uczciwiec, co jej pieniądze zwrócił. Dopiero w jakiś czas potem dowiedziała się o jego nazwisku, a to w ten sposób. Razu jednego poszła ona sobie na przechadzkę, aż tu nagle zafurczało jej coś wedle ucha. Patrzy, i poznaje znajomego sobie wróblika. Nuż tedy pieścić i całować kochaną ptaszynę, gdy w tem zbliża się jakiś młody człowiek i domaga się o wróbla jako o własność siostry swojej. Był to syn jej najbliższego sąsiada, malarza i ojca kilkorga dzieci. I już też więcej nasza dobra pani nie łamała sobie głowy, kto był jej dłużnik, skoroć się teraz dowiedziała, że on maleńki posłaniec należał do jej sąsiada. —

---

☞ *Właśnie w tym miesiącu Grudniu kończymy pierwsze półrocze „Dzwonka." W dodatku do dzisiejszego numeru przesyłamy naszym pilnym czytelnikom podług dawnej obietnicy: malowany obrazek* Matki Boskiej Anielskiej, osobny napis *czyli* tytuł *i* wykaz *po szczególe tego wszystkiego, co było dotychczas powiedziane w Dzwonku, a także i* różową okładzinkę, *abyście już mieli książeczkę jak się patrzy.*

*Zarazem ogłaszamy* przedpłatę *na drugie półrocze naszego pisemka, to jest na czas od 1. Stycznia r. 1860 aż do ostatniego Czerwca tegoż roku. Ma się wiedzieć, że kto zapłacił całe* dwa złr., *do tego się to nie stosuje — kto zaś jeno* jeden złr. *zapłacił, a Dzwonek mu się spodobał i radby go nadal zatrzymać, ten będzie łaskaw przed nowym rokiem nadesłać nam tego reńskiego, i na osobnej kartce drukowanej, co mu ją na ten cel przesyłamy, wypisać dokładnie:* imię i nazwisko swoje, miejsce zamieszkania i pocztę najbliższą.

*Spodziewamy się, żeście już nas dotychczas dobrze poznali, i nikt nie powie, abyśmy byli ludzie złej woli, zapraszający się z tym naszym Dzwonkiem w gościnę do waszych chat, ta i do serc waszych. To też nie odmawiajcie nam tej gościnności, o którą was i nadal pięknie prosimy — a wszystko dla waszego własnego dobra!...*

---

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpodzialny wydawca: **E. Winiarz.**